

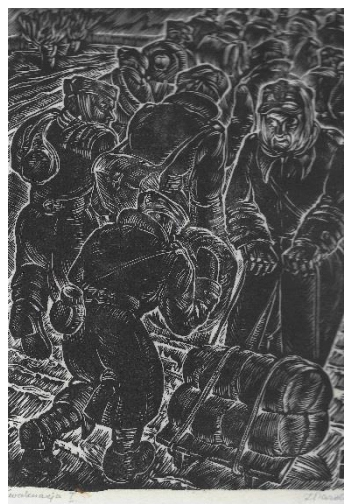
DZIEŃ WYZWOLENIA*

Od chwili rozpoczęcia przez Armię Czerwoną w dn. 12.01.1945 r. zimowej ofensywy nad Wisłą jeńcy Oflagu IIC w Dobiegniewie /niem. Woldenberg/ zdawali sobie sprawę z tego, iż wojna wkroczyła w ostatnią już fazę i że klęska Niemiec jest już niedaleka. W miarę postępów ofensywy radzieckiej rosnęło w obozie napięcie oczekiwania.

W dniu 24 stycznia pod wieczór usłyszeliśmy głucho, dalekie odgłosy strzałów armatnich. Nagabywani przez nas w tej sprawie podoficerowie niemieccy wyjaśniali, że zasłyszane huki pochodzą od wybuchów, ładunków saperskich używanych przez ich saperów przy pośpiesznej budowie na tyłach frontu ciągłych rowów przeciwczołgowych. Udawaliśmy, że wierzymy ich wyjaśnieniom.

W czwartek 25 stycznia wieczorem zawrzała niesamowity ruch w obozie po ogłoszeniu przez władze Oflagu pogotowia marszowego na dzień następny. Surowy regulamin wewnętrzny obozu przestał niemal całkowicie obowiązywać. Po zmroku nikt nas nie zapędzał do baraków, to też przez całą noc trwał nieograniczony ruch pomiędzy wszystkimi jenieckimi barakami obozu. Coraz to nowe informacje i zarządzenia przynosili koledzy, kursujący pomiędzy barakiem 4b /siedziba kancelarii "starszego obozu"/ a pozostałymi. Wiele spraw wymagało likwidacji lub reorganizacji. Według zarządzeń niemieckiego komendanta obozu, gen. Hansa Kriegera, należało się przygotować do długiego marszu, zabierając ze sobą tylko niezbędne przedmioty. Ponieważ jednak większość jeńców "obrosła" poważnie w ciągu 5 lat niewoli w zapasy odzieży, koców, żywności, papierosów i stopy różnych pamiątek obozowych, przeto przez całą noc bezsenną trwały debaty nad tym, co należy pozostawić w walizkach. Niemożliwe bowiem do zabrania ze sobą mienie miało być spakowane w walizkach, oznaczone kartonikami z nazwiskiem i zdeponowane w "Heimbaracke" batalionów.

Pieczęta gorzały całą noc pochłaniając w swych brzuchach centnary notatek z różnych obozowych kursów, szkiców, korespondencji i różnych opakowań. Chyba połowa kolegów pracowała stukając młotkami, budując z rozmontowanych stołków i taboretów różne typy "nibysanek." pod walizki, których nie chciano pozostawić w obozie na pastwę losu. W pomieszczeniach obozowych bowiem miała pozostać jedynie mała garstka oficerów, która zostanie zakwalifikowana przez lekarzy jako niezdolna do odbycia marszu. W ciągu całej nocy zgłaszało się do „rewiru" /izba chorych/ około 700 kandydatów, usiłujących wykręcić się od pochodu za Odrę. Straż obozowa była również jak my zaaferowana przygotowaniami do wymarszu, toteż działały tylko posterunki zewnętrzne, oświetlające reflektorami obóz, co nam ułatwiało wędrówki z walizkami i odwiedzanie kolegów w innych barakach, aby umówić się na wspólny marsz w ramach tej samej kolumny.



Moje przygotowania do wymarszu zmierzały do pozbycia się niepotrzebnego obciążenia, które pozostawiłem w walizce w baraku bibliotecznym. Zabrałem ze sobą tylko jeden cienki kocyk, w który wrolowałem jedną zmianę bielizny i skarpetek. Przewieszony przez ramię z przytroczoną do spięcia menażką /pełną ugotowanej na drogę fasoli/ i skrzyżowany z taśmą uszytego naprędce ze starych spodni chlebaka zawierającego "żelazną porcję" odkładanych na czarną godzinę garści ryżu, cukru i kilku deka słoniny, stanowił odpowiednik lekkiego rynsztunku patrolowego, uzupełniony lilipucią walizeczką z listami od żony z KZ Rawensbruck i paroma pamiątkami z obozu, którą niosłem w ręku. Norweski 3/4 -owy płaszcz do kolan był ciepły i idealny do marszu. Na nogach stare buty z cholewami, zaoszczędzone jeszcze z Września.

W ciągu nocy, dyskretnie wezwany do konspiracyjnego kwatermistrza wyfasowałem ekwipunek dowódcy patrolu w postaci oryginalnej niemieckiej mapy 1:100 000 okolic na zachód od Dobięgniewa, kompas, oryginalny polski szkiecownik połowy z kompletem kolorowych ołówków, dwa pudełka zapalek i kilka ampułek z benzyną. Byłem bowiem w obozie szefem sztabu zgrupowania b. oficerów wrześniowej armii "Kraków" /dowódcą był ppłk dypl. Bronisław Warzybok/, których znałem wszystkich niemal prowadząc z nimi tajne szkolenie bojowe.

Byłem w dobrej kondycji fizycznej i przeczuwałem rychłe odzyskanie wolności podczas marszu w głąb Reichu.

O świcie dnia 26 stycznia /piątek/ wezwano nas do formowania kolumn batalionowych na zwykłych placach apelowych. Ustawialiśmy się bez pośpiechu w ramach dotychczasowych podziałów na 3 baony "Ost" i 3 baony "West" gdyż mieliśmy maszerować w dwóch oddzielnych kolumnach. Posterunki na wieżach zniknęły, zastąpiły je wewnętrzne, nieliczne i o niewyraźnych minach. Długo czekaliśmy na oficerów niemieckich, wskutek czego następowało dalsze przetasowania wśród stojących w kolumnach batalionów. Każdy chciał być podczas marszu wśród swoich kumpli /tzn. kolegów pułkowych, przyjaciół z cywila albo współników z obozowej „kuchennej sitwy"/. Nagle ktoś przyniósł wiadomość, że kolumna "West" już wychodzi, oraz że magazyn chleba jest otwarty i niestrzeżony. Złamały się szyki naszego baonu - wielu z nas pobiegło do pobliskiego baraku-magazynu. Pierwsi, co go dopadli, wracali z naręczami po 5 i 6 bochenków.

Nie dla wielu starczyło, ja zadowolilem się jednym bochenkiem. Wymarsz naszej kolumny nastąpił dopiero po godz. 10-tej. Otoczeni eskortą słabego plutonu wachmanów z bagnetami na broni, wyszliśmy z obozu główną /północną/ bramą, przecięliśmy szosę i polną drogą ruszyliśmy na północ, obchodząc dużym łukiem rozległe jezioro. Po zanurzeniu się w kompleks leśny pomaszerowaliśmy po głębokim śniegu słabą drogą na zachód. Kolumna początkowo zachowująca jaki-taki porządek czwórkowy, na kopnym śniegu rozciągnęła się w nieregularny łańcuch, przeplatany parami ciągnących sanki. Wachmani klęli, pokrzykiwali poganiając ciągnących bagaże, ale byli bezradni wobec ciągłych katastrof, wynikających z rozlatywania się źle zbitych saneczek i spadania z nich ładunku. Powoli uparci "juczni" koledzy dochodzili do wniosku, że pomysł z improwizowanymi sankami był nonsensowny i sami rozwalali i porzucali swe pojazdy oraz walizki po zabranii z nich najcenniejszych rzeczy i upchaniu ich po kieszeniach. Z porzuconych walizek mieli pożytek inni, a także wachmani nie gardzący amerykańskimi mydełkami lub paczką papierosów.

Po kilku kilometrach, usianych porzuconymi walizkami oraz szczątkami sanek, kolumna nasza stała się już podobna do wojska – tylko kilku najzawziętszych na jej ogonie w pocie czoła ciągnęło swój dobytek na wytrzymalszych „pojazdach”. Maszerowało nas w tej kolumnie ponad 2,5 tysiąca ludzi. Nieprzyzwyczajeni do dłuższych marszów, starsi zwłaszcza koledzy opóźniali tempo marszu do ok. 3 km. na godzinę. Szliśmy bez odpoczynku do samego wieczora. Postój wyznaczono nam w osiągniętej późnym wieczorem miejscowości TUCZNO /niem. Schonrade/. Na ostatnich kilometrach tego etapu, po wyjściu z lasu na otwarte pola byłem świadkiem nieudanej próby ucieczki jednego z kolegów. Niestety zastrzelono go zanim ubiegł 200 m. w pole na prawo od drogi. Nie mogłem się dowiedzieć od jego towarzyszy jak się nazywał, gdyż było już ciemno, a on wyskoczył z kolumny samotnie i tak niespodzianie, że jego sąsiedzi nie zdążyli go rozpoznać.

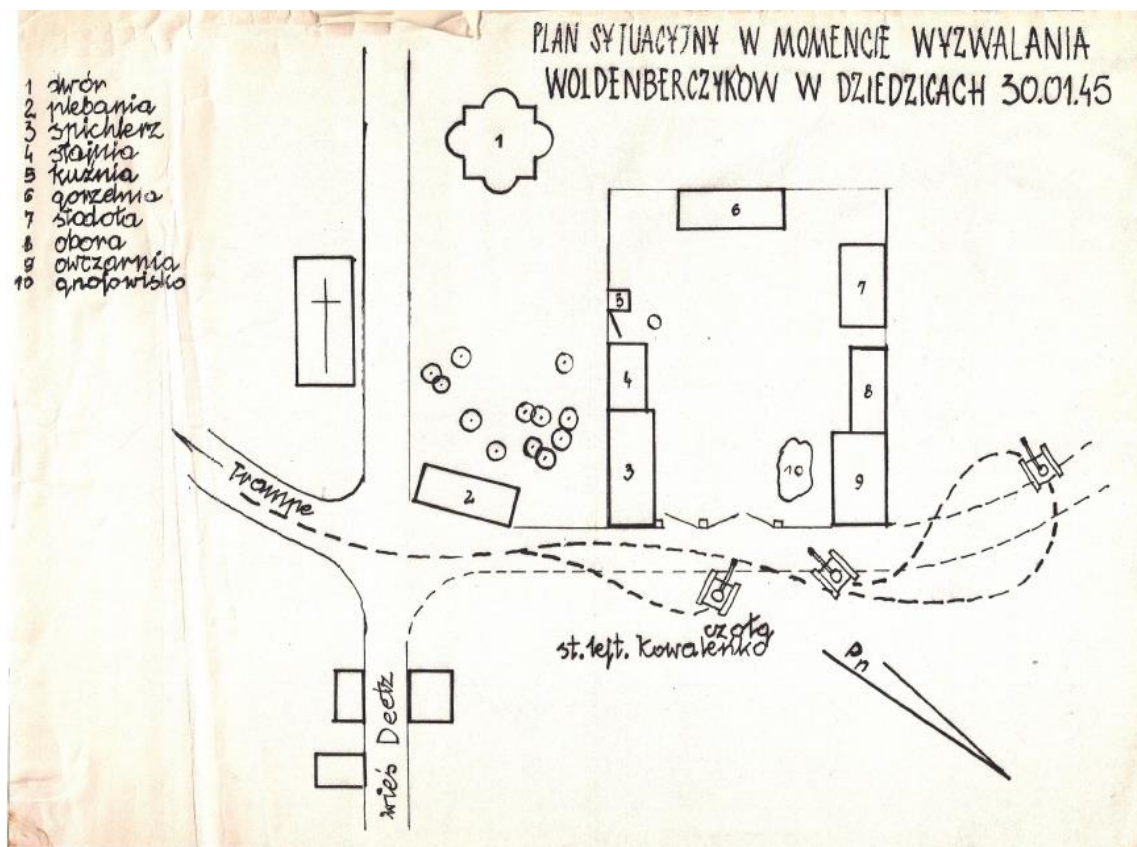
W Tucznie /Schonrade/ rozmieszczono nas po ciemku w murowanych z granitu zabudowaniach gospodarskich tutejszego dworu. Na kolację wydzielono nam po garści rozciapanych ziemniaków z parnika, uparzonych na strawę dla trzody. Nie nadawały się do jedzenia. Posililiśmy się każdy z własnych zapasów. Nocleg w ogromnej stodole na grochowinach był okropny. Przemoczone do cna obuwie i skarpetki /których nie należało zdejmować z obrzękłych nóg ze względu na przewidywany w dniu następnym dalszy marsz/ spowodowały takie zziębnięcie stóp, do bólu, że o zaśnieściu nie było mowy.

Następnego dnia /27.01.45 sobota/ Niemcy wydali nam normalną porcję chleba /bochenek na 8 ludzi z "zulagą" /kiszka bułczana/ i garnczek ciepłej wody, a potem obwieścili, że z powodu złego stanu fizycznego jeńców zarządzają całodzienny odpoczynek. Był to prawdopodobnie tylko pretekst, zdaje się że powodem przerwy w marszu była sytuacja na drogach wobec przybliżania się frontu, działań bojowych o czym wiedzieliśmy ze słyszanych w ciągu dnia coraz bliższych odgłosów kanonady artyleryjskiej. Druga noc, po wysuszeniu obuwia, była lepsza, toteż z rana w niedzielę stanęliśmy na zbiórkę do wymarszu w dobrej kondycji. Wymarsz opóźnił się znowu, bo Niemcy nie mogli się nas doliczyć, oczywiście, paru kolegów, zagrzebanych pod grochowinami, uniknęło wymarszu i po naszym odejściu dotarło pod wieczór do nadciągających od wschodu oddziałów radzieckich.

Etap niedzielny /28 stycznia/ był łatwiejszy. Szliśmy po drogach bitych, a jeśli po polnych, to dobrze przetartych przez niemieckie pojazdy wojskowe. Późnym wieczorem osiągnęliśmy miejscowość BOROWICE /Hasselbusch/ (*możliwe, że chodzi o wieś Niesporowice – dop. ap*), gdzie znów zakwaterowano nas we dworze. Służba folwarczna była tu dla nas życzliwa, pozwolono nam rozkwaterować się po stodołach, oborach, stajniach i ciepłych strychach i niemal każdy mógł dyskretnie napić się mleka ze stojących bez nadzoru baniek z udojem wieczornym.

Wyspani i wypoczęci pomaszerowaliśmy rano 29 stycznia 1945 roku przy pięknym słońcu dalej na zachód, znów po drodze omijając łukiem jezioro Osiek. W godzinach popołudniowych dotarliśmy do Barlinka /Berlinchen/, gdzie marsz naszej kolumny został zatrzymany na pewien czas na skrzyżowaniu dróg przez długą karawanę wielkich, ładownych wozów chłopskich, którymi ewakuowały się masowo rodziny bauerów z okolic Włocławka i Bydgoszczy, nasiedlonych tam przed paru laty przez różnych Bałten- i Woliniendeutschów. Tu, w BARLINKU u wylotu drogi na północ /prawdopodobnie w kierunku na Lipiany/, na rękach kolegów zmarł na serce wyczerpany trudami marszu kpt. int. Zimmermann Franciszek, którego

zwłoki ułożono na poboczu ulicy. Stąd dalszy marsz trwał już niedługo. Polną drogą poszliśmy na północny zachód przez folwark Trampe /dziś miejscowość Strąpie/ do wioski Deetz/dziś miejscowość Dziedzice/. Było już ciemno gdy dobrnęliśmy do wsi. Zakwaterowano nas, jak zwykle, w zabudowaniach gospodarskich tamtejszego dworu. Szkic poniżej.



Druga kolumna jeńców z naszego obozu, choć wymaszerowała wcześniej, w dniu 26 stycznia, przechodziła przez BARLINEK w dniu 29 stycznia daleko za nami, wieczorem, gdy my już byliśmy na postoju, a tamta grupa poszła inną drogą na Pyrzyce /Pyritz/. Noc przespaliśmy w znośnych warunkach. Najcieplej /bo najciaśniej/ było tym, co zajęli pustą owczarnię i pełną krów oborą obok. Reszta kolegów rozmieściła się w stodole i wielkim spichrzu.

Zbiórkę do wymarszu w dniu 30.01.1945 roku zarządzili Niemcy na godzinę 7-mą. Skoro świt, staraniem zapobiegliwego mjr. Stanisława Błażejewskiego /polski kwatermistrz obozu/ dostaliśmy po garnuszku gorącej wody, w pół godziny później stanęliśmy w kolumnie, czołem przy bramie wyjazdowej z gumna. Rozkaz do wymarszu nie nadchodził. Nie widząc niemieckich oficerów zaczęliśmy się rozłazić by zorganizować sobie jakiś posiłek. Ja poprzestałem na zjedzeniu w spichrzu garści wyśłodków - jakoś się dało zjeść, choć były bardzo mdłe. Wreszcie około godziny 9-tej, gdy wszyscy dobrze słyszeliśmy odgłosy niedalekich strzałów armatnich przybiegł ktoś ode dworu, gdzie kwaterował sztab komendy obozu z gen Hansem Kriegerem z wieścią, że wymarsz odwołany. Wobec tego wielu kolegów powróciło na swe nocne miejsca noclegowe, a inni zaczęli rozniecać na dziedzińcu małe ogniska, aby zagotować zupę z własnych prowiantów. Grupka kolegów, czujniejszych na dźwiękowe zwiastuny zbliżającego

się frontu, zgromadziła się przy furcie wewnętrznej, oddzielającej zabudowania gospodarskie od podwórca i ogrodu dworskiego. Stojąc w tej grupie widziałem jak z pałacyku dworskiego nadszedł adiutant gen. Kriegera i zawezwał do niego na odprawę kilku najstarszych rangą oficerów. Poszło ich paru - pamiętam, że był wśród nich ppłk Stefan Zielke. Gdy wrócili do nas po kilku minutach, ogłosili to co gen. Krieger polecił im obwieścić ogółowi jeńców. Brzmiało to mniej więcej tak: „w odległości paru kilometrów oddziały niemieckie toczą ciężki bój z sowieckimi czołgami, które przerwały się przez front. Gen. Krieger poleca nam zachować spokój i zaufanie do eskorty, która pod jego rozkazami bronić nas będzie do ostatka przed wpadnięciem w ręce bolszewików wiedząc, iż trudy marszowe wyczerpały siły polskich Jeńców, gen. Krieger zakupił od właściciela dworu dwie krowy, które przeznaczył na strawę dla polskich Jeńców, wzywa się tych spośród polskich oficerów, którzy znają się na uboju i ćwiartowaniu bydła, aby się zgłosili pod gorzelnię”. W istocie, w tej samej chwili służba folwarczna wyprowadziła pod gorzelnię dwie najstarsze i najchudsze krowy z obory. Wśród zgromadzonych na gumnie kolegów zapanował radosny nastrój, gdyż natychmiast zgłosili się ochotnicy do zabicia krów i szybko wykonali zleconą pracę. Patrząc na to wszystko, nie mogłem usiedzieć na miejscu. Nie podzielałem entuzjazmu kolegów, ostrzających sobie apetyt na świeżą sztukę mięsa, gdyż nie chciałem dopuścić by wydarzenia bojowe, które winny nam przynieść wolność, zaskoczyły nas nieprzygotowanych do zajęcia właściwej postawy. Grozę położenia podkreślały w mych oczach krążące nad naszymi głowami messerschmity, których eskadra zidentyfikowała nas we dworze, a potem, w odległości około 2 km na południe atakowała jakieś cele naziemne, co oglądałem ze strychu gorzelni. Obszedłem więc szybko całe podwórze folwarczne, wdając się niby od niechcienia w rozmowy z wartownikami stojącymi na posterunkach wewnętrznych przy "słabych punktach" ogrodzenia folwarcznego. Wszyscy trzej mieli wyraźnego stracha przed radzieckimi czołgami i przyznawali mi rację, że z chwilą ich pojawienia się najrozsądniejszym postępowaniem dla nich będzie zaufanie inicjatywie polskich oficerów i oddanie się im /z bronią/ pod opiekę.

Po takim zneutralizowaniu wartowników usadowiłem się w pobliżu bramy wjazdowej, wystawiwszy w okienku strychu nad owczarnią obserwatora ppor. 27 p.p. Leona Lachowskiego (*niestety, brak nazwiska na liście lubuskiej – dop. ap*). Z tego miejsca miał on dobry wgląd na drogę, którą przyszliliśmy poprzedniego dnia z Trampe, wzdłuż której wznagał się warkot czołgów, zbliżając się najwyraźniej ku naszej wsi. Tylko wąski wycinek pola widzenia zasłaniał mu miejscowy kościół. Czas do działania zbliżał się dużymi krokami.

Warkot pierwszego czołgu słyhać już było na podejździe do wsi. Ponieważ parkan, oddzielający mnie od drogi, był dość zwarty i nie mogłem wiele zobaczyć przez jego szpary, gorączkowo zacząłem pytać Lachowskiego, czy rozpoznaje przynależność czołgu - niemiecki? radziecki? Czołg był już o kilkanaście kroków od bramy, a Leon nie mógł się zdecydować. Wreszcie przez szparę w płocie sam rozpoznałem po białej (? – *dop. ap*) gwieździe. Rzuciłem się do bramy, a stwierdziwszy, że kłódka jest otwarta i że obok wartownika przy furcie stoi trójka pancerników /ppłk AK Łętowski Stanisław, por. Kaplinowski Józef i ppor. Clar (Klar) Tadeusz/ - podniosłem skobel i ująłem długi drąg zawory wrót by je otworzyć i wybiec ku czołgowi. Nagle poczułem silne szarpnięcie z tyłu za potę płaszcza i upadłem na wznak na gnojówkę, szczęściem zamarznąłą. Czołg minął bramę i wyjechał poza narożnik owczarni. Zerwawszy się szybko na nogi oburknąłem kolegę, kpt. dypl. Bochenka Józefa /obecnie ppłk

dypl. w st. sp./ za obalenie mnie. W odpowiedzi pokazał mi celujących we mnie dwóch Niemców spod gorzelni – „czy nie widzisz wariacie, że do ciebie celują?” - wyruszyłem ramionami.

W tejże chwili zza budynku owczarni rozległ się terkot niemieckiego rkm-u /z posterunku zewnętrznego na wysokości obory/, a w sekundę potem gruchnął wystrzał z działa radzieckiego czołgu, powtórzony po dalszej chwili. Zdrętwiałem. Z wnętrza owczarni rozległy się jęki rannych, buchnęła wrzawa okrzyków, wynoszono rannych, wołano kolegów lekarzy. Najwidoczniej pociski armatnie eksplodowały ze zwłoką po przebiciu cienkiej ścianki pruskiego muru. Przecież strzelający nie miał pojęcia kto się w tych budynkach znajduje - czemu nie dano możliwości zapobiec?

Tymczasem z prawej strony, od kościoła, nadjeżdżał następny czołg. Nie wahałem się dłużej. Podskoczyłem do wrót, otwarłem ich prawe skrzydło i wybiegłem na drogę z wzniesionymi rękami, krzycząc co sił: „Stój, Nie strielaj: Zdieś dwa tysiacza wojennoplennych polaków”. Czołg stanął, podobnie jak pierwszy z nich, który po oddaniu dwóch fatalnych strzałów, zawrócił, by zbadać co się mieści w zabudowaniach, a widząc mnie i słysząc moje wołanie, równocześnie ze swym towarzyszem podniósł klapy wjazdu i ukazał twarz dowódcy. -

W bliższym mnie czołgu z prawej przyjazne oblicze st. Lejtnanta Kowalenko i gest ręki zachęciły mnie do wskoczenia na pokład wozu. Błyskawicznie przebiegła nasza rozmowa. Na pytanie:- “Kakaja zdieś obstanowka?” wyciągnąłem z rękawa mapę, zorientowałem ją według stron świata i objaśniłem nasze położenie i podałem siły Niemców. Ci nie otwierali ognia, Mój rozmówca zażądał, abym wezwał kolegów, aby opróżnili dla czołgów pole walki. Rozkrzyczałem się ponownie z całej mocy płuc “Kto żyw, wiać do wsi, a potem na Trampel!” Lawina czekających na hasło kolegów runęła przez bramę, kierując się wedle mego wezwania. Pozostawiali nawet zrolowane płaszcze i zawiniątka. Nie wszyscy myśleli Jednak tylko o ratowaniu życia. Obok mnie na czołgu stanął Staszek Łętowski. “Dajcie mnie arużjo” - poprosił dowódcę czołgu. Na drugi czołg również wskakiwali koledzy. Czołgiści podawali im wyciągnięte z wnętrza wozów zapasowe pepesze. Dostało ich pięciu. „A dla mienia?” - zapytałem “swego oficera”. Rozłożył ręce - “DLa ciebia użie nie chwatiło!” - Potem dorzucił, że ja powinienem teraz wyjść na czoło biegnących kolegów i zorientowany w położeniu, poprowadzić ich bezpieczną drogą do stanowisk radzieckiej piechoty. Czołgi ich “Wyzwolonej Połtawszczyzny” /50 bryg, panc. Połtawy w Ukrainie/ przebiły bowiem w ugrupowaniu niemieckim tylko wąski korytarz, a na lewo i prawo od tego wąskiego wyłomu są jeszcze po lasach silne oddziały niemieckie, od których ognia mogą zginąć zbłąkani moi koledzy. Moją mapę zatrzymał, bo własna jego już mu się skończyła.

Zeskoczyłem więc z czołga i podążyłem za kolegami, oglądając się raz po raz w tył. Uzbrojeni przez czołgistów koledzy trzymali się grupkami po 2-3 wraz z radzieckimi “awtomatcznikami” leżącymi do tej pory na obu czołgach, za wozami bojowymi czekając najwyraźniej aż się zwolni przedpole do walki z Niemcami. W pobliżu czekali na mnie koledzy, którzy przez cały czas okresy niewoli trzymali się mnie, ufając mojemu żołnierskiemu doświadczeniu i instynktowi /porucznicy A. i M. Lowinger-Banachowscy, ppor. K. Potacki (możliwe, że mowa o por. Klemensie Potockim – dop. ap), W. Kosowicz/. Szybko poszliśmy w ślad za kolegami, mijając kościół w Dziedzicach spojrzeliśmy na zegar na jego wieży. Była niemal dokładnie godzina dwunasta. w kilka minut potem rozległa się wokół dworu strzelanina, czołgi wsparte tyralierą

naszych kolegów ruszyły na Niemców. Szliśmy szybkim krokiem, odcinkami podbiegając, by jak najszybciej wyjść na czoło gromady, idącej bez ładu, jak kto chciał. Po drodze wzywaliśmy kolegów do tworzenia zwartej kolumny. Tuż za wsią Dziedzice minęły nas dwa następne czołgi z tego samego oddziału zwiadowczego, wiozące na pokładach po kilku naszych kolegów, uzbrojonych w pepesze i z uciechą wracających do wsi na rozprawę z Niemcami.

Na wysokości Trampe byliśmy już na czołe wyścigu do wolności. Zwolniliśmy tempo. Młodszy koledzy zdobyli w którejś z zagród /Trampe- dziś Strąpie/ kawały białego i czerwonego płótna i w marszu zeszyli z nich polską flagę, umocowując ją na tyczce. Tuż za folwarkiem za Trampe wyszliśmy na prawe skrzydło tyraliery baonu XII gwardyjskiej brygady piechoty zmotoryzowanej. Piechota radziecka prowadziła raczej daleki ogień broni maszynowej na stanowiska niemieckie na skraju lasu, na płn.-zachód. Poza tyralierą na skraju wsi Strąpie odwoły brygady ze swym dowódcą - „młodziutkim podpułkownikiem „przywitały nas bardzo serdecznie, częstując papierosami, czekoladą, a kto chciał i mógł pić, to i wódką, naturalnie zdobyczną. Tuśmy wszyscy odpoczęli i ostatecznie uporządkowali się.

Dowództwo nad uporządkowaną kolumną wolnych już Woldenberczyków objął odtąd starszy obozu płk Wacław Szalewicz z ppłk. Stefanem Zielke. Ja ze swą "świtą" młodszych kolegów zdecydowałem się maszerować na ogonie kolumny, gdzie zwłaszcza w nocy „mogły powstawać krytyczne sytuacje, wymagające od dowódcy straży tylnej znajomości języka rosyjskiego i niemieckiego, no i oczywiście zdolności podejmowania szybkich i rozsądnych decyzji. Ruszyliśmy porządną czwórkową kolumną w stronę Barlinka.

Tak przyszła do nas wolność. Nie doczekało jej 17 kolegów, leżących dziś w zbiorowej mogile na cmentarzu w Dziedzicach. Nie można dokładnie dziś ustalić, ilu z byłych jeńców Oflagu II C wzięto w dniu 30 stycznia 1945 r. czynny udział, ramię w ramię z radzieckimi czołgistami, w rozbiciu niemieckiej eskorty w Dziedzicach, co nastąpiło po chwilowym przerwaniu ognia na czas ewakuacji głównej masy jeńców spod luf radzieckich i niemieckich. Musiało ich być dość wielu, gdyż PCK zanotowało 34 nazwiska rannych, leczonych w szpitalach polowych /najwięcej w Barlinku, gdzie z ran zmarło dalszych 5 czy 6 oficerów/. Poza nimi, obok por.mar.woj. Jeremiego Hulanickiego zmarł w Dziedzicach ciężko ranny fizylier czołgu Nr.1 szeregowiec Jegorow z Riazania.

Północna kolumna obozu wieczorem 30 stycznia stała na postoju w m. Kosin koło Pырzyc i nocą pomaszerowała na zachód za Odrę, kontynuując marsz aż do 26 marca. Doczekała się wolności dopiero w dniu kapitulacji! Rzeszy.

W miarę zbliżania się do Barlinka zorientowaliśmy się, że w tym miasteczku toczy się bój. Prawdopodobnie Niemcy usiłowali ponownie opanować ten węzeł drogowy dla zaryglowania wyłomu dokonanego przez zagon radzieckich czołgów. Poszliśmy więc polną drogą ku lasowi aby okrążyć miasto łukiem od południa. W lesie posuwaliśmy się przesieką po dziewiczym śniegu. Zapadła noc. Gdy czoło kolumny doszło do drogi bitej wiodącej z Barlinka na południe, usłyszeliśmy nadjeżdżające czołgi. Przyczajeni w poszyciu obserwowaliśmy kilka wozów niemieckich jadących na Barlinek. Po ich zniknięciu w ćmie nocnej szliśmy dalej według gwiazd na wschód, aż wyszliśmy na ich skraj w okolice w Krzynki /Klausdorf-Feld/.

Wysłany do zagród nasz patrol został ostrzelany przez Volkssturm z dubeltówki. Cofnęliśmy się więc w głąb lasu i po obejściu jego skrajem strzeżonego przez Niemców rejonu doszliśmy

do grupy dalszych zagród tej miejscowości, gdzie nie było żadnych oddziałów wojskowych, choć opodal przebiegała szosa na Danków i Strzelce Krajeńskie /niem.Friedeberg/. Stłoczeni w tych paru zagrodach odpoczywaliśmy gdzie kto mógł, do rana pichcąc strawę na wszystkich dostępnych piecach. W ciągu nocy przejechały w kierunku Barlinka dwa oddziały czołgów radzieckich i zaglądał do nas patrol drogowy, od którego otrzymaliśmy informacje o stanie dróg i o kierunku głównej magistrali ruchu od frontowego. Opór Niemców w Barlinku był przełamany późnym wieczorem i ruch przez to miasto odbywał się bez przeszkód.

W Klausdorf-Feld zmarł ppłk dypl. Marian Jasiński pomimo próby przewiezienia go do szpitala. Wymarsz nastąpił wczesnym rankiem 31.01. wygodną drogą na Danków-Strzelce Krajeńskie, a na nocleg stanęliśmy w Starym Kurowie /Altkarbe/. Tu, wieczorem tegoż dnia, zginął pchor. 17 pp Romuald Kluczewski, zarąbany siekierą przez rozwścieczonego Niemca w odpowiedzi na żądanie Polaków nakarmienia ich.

Ze względu na przemęczenie długim etapem marszu dnia poprzedniego płk W. Szalewicz zarządził tu całodzienny odpoczynek w dniu 1.02.1945 r. Tego dnia przyszła odwilż tak, że marsz w dniu następnym przez Drezdenko do Starych Bielic odbywaliśmy po wodzie.

W ciągu dnia do kolumny naszej dołączały coraz liczniej grupki cywilnych robotników zatrudnionych przymusowo w Rzeszy Polaków, Francuzów, Włochów, jeńców serbskich i amerykańskich, a nawet próbowały się w niej zamaskować „rodziny volksdeutschów z białoczerwonymi opaskami, których jednak szybko zdemaskowaliśmy sami. Ten i ów z kolegów „organizował” sobie jakoś rower, co jednak ze względu na stan dróg nie na wiele się przydawało.

Nocleg z 2 na 3 lutego mieliśmy bardzo wygodny i z dobrą wyżerką w całkowicie opuszczonej przez Niemców wsi Stare Bielice, leżącej z boku w stosunku do głównej arterii ruchu okrążającej Krzyż. Najcięższym etapem marszu był następny dzień - 3 lutego -ze St.Bielic do Wielenia, kiedy to przyszło nam brnąć przez cały dzień, błotnistą drogą „wojenną”, rozjechaną czołgami, przez pola wzdłuż północnego brzegu Noteci.

Wielen - przy ówczesnym stanie naszych umysłów, stanowił dla nas pierwszą piędź naszej starej, polskiej ziemi. Wprawdzie przez ostatnie lata niewoli byliśmy przygotowani na przywrócenie Polsce znacznych obszarów ziem zagrabionych nam z dawna przez Niemców, ale wówczas - 3.II.1945 r. - nikt nie mógł wiedzieć kiedy i o ile kilometrów na zachód i północ przesuną się nasze granice. We Wieleniu w 1939 r. zaczynała się Polska. Do Wielenia też pojechali przodem na rowerach nasi heroldowie "kwaterunkowi", aby nam na niedzielę zapewnić należytą gościnę i odpoczynek, Mimo iż wiedzieliśmy o wysiedleniach Polaków z Wielkopolski, spodziewaliśmy się zastać we Wieleniu choć garstkę swoich rodaków. I gdy przed zmierzchem czoło naszej kolumny dotarło do polowego mostu na Noteci przed Wieleniem, gdy na tle jasnego nieba - na wysokim południowym brzegu rzeki ujrzeliśmy sylwetki kolegów wsparte na rowerach i usłyszeliśmy ich okrzyki: - Ludność miasta z burmistrzem na czele oczekuje z chlebem i solą na w rynku na nasze przybycie!. Gardła wszystkich Woldenberczyków ścisnęła dawno nie odczuwane wzruszenie. Pierwsze czwórki, które przekroczyły most i stanęły nogą na twardym brzegu, jak na komendę przyklekły i ze łzami w oczach całowały ojczystą ziemię, za którą tęskniły 5 długich lat.

A potem, na rynku wieleńskim gdy ppłk Stefan Zielke uformował nas jako-tako w 3 batalionowe kolumny, a burmistrz przywitał nas głosem rwącym się raz po raz od wzruszenia- płakaliśmy jeszcze raz wszyscy, szczerze, nie wstydzący się łez.

Potem kolumny załamały się, poszły w rozsypkę. Mieszkańcy Wielenia porozrywali je na grupki po dwóch, trzech, a nieraz i po pięciu- kto ich mógł u siebie ugościć- i z wylewną radością poprowadzili nas do swych mieszkań. Gościli nas serdecznie, jak najbliższych członków rodziny, przez cały następny dzień - niedzielę, a w poniedziałek 5.02.1945 odprowadzili nas na miejsce zbiórki u wschodu wylotu szosy z miasta, aby z żalem pożegnać nas przy wymarszu do ostatniego etapu, którego metą miał być już - nasz własny rodzinny dom, ... jeśli tylko ocalał z wojennej zawieruchy.

**) opracowano na podstawie wspomnienia spisanego przez mjr. dypl. Witolda Wróblewskiego z zachowaniem możliwie oryginalnej pisowni i sformułowań, jednak z niezbędnymi korektami ułatwiającymi lekturę. Oryginał wspomnień w postaci maszynopisu pozostaje w zasobach Stowarzyszenia. Zainteresowanych drogami ewakuacji Jeńców Oflagu IIC zapraszamy także do lektury książki „Oflag II C Woldenberg, to brzmi jak tajemnica” wyd. 2021, rozdz. 3.12 autorstwa Zdzisława Izydorczaka.*

A.Pazda, 10 stycznia 2024